Lwów, 21. Marca. № 34. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Epizod krótki ale romantyczny.

Izba zamknięta na folwarku, o której wyżej wspomnieliśmy, była to sypialnia państwa Pikułów, z której małe i ciasne drzwi prowadziły do niewielkiego alkierza, o jednem, na ogród wychodzącem oknie. Wejdźmy na chwilę do tego alkierza; najprzód uderzy nas dosyć przyjemnie zapach kwiatów. Były to kwiaty nie wielce wykwintne, stojące w kilku w wazonach na prostej ławce przed piecem ustawionej: były tam róże i rezedy i pare geraniów nie szczególnych, i skromny nareszcie wazonik rozmarynu o kilku młodych jeszcze gałązkach. W kącie, naprzeciw pieca, stało wązkie łóżko, niezbyt białe, choć porządną dosyć przykryte kapą. Parę sukienek kobiecych o jasnych barwach i kilka spodniczek, sztywnie ukrochmalonych, leżało tu i owdzie w niekoniecznie porządnym ładzie, to na kuferku, to na łóżku, to na stołkach, co świadczyło że tam mieszka kobieta, i niebardzo przemawiało za jej zamiłowaniem w porządku. Nad łóżkiem wisiało kilka obrazków kolorowanych ze świętymi; a między nie wcisnął się, Bóg to raczy wiedzieć jakim sposobem sztych francuski, który dziwnie odbijał od świętych obrazków, mianowicie przedmiotem wyobrażonym na nim. Była to scena miłosna, w której kochankowie siedzieli sam na sam, jeżeli w nie bardzo przyzwoitem, to przynajmniej w nader poufałem położeniu. Był to jeden z tych sztychów francuskich z końca wieku minionego, w którym jak wiadomo, wierzono w mitologią rozmaitą, i lubowano się w scenach dosyć anakreontycznych. Naprzeciw łóżka, nad stolikiem pokrytym jakąś serwetą kolorową, czystości dosyć dwuznacznej, wisiało zwierciadło, za wielkie i za kosztowne nawet na ten alkierzyk, skromnie dosyć przystrojony. Na stoliku który miał pretensyą widoczną do nazwy gotowalni, było kilka gotowalnianych przyborów, między któremi najważniejszą odgrywały rolę, parę buteleczek i mydełek pachniących, których widoczne było pochodzenie brodzkie; był rzęsiście obzłocony i otwarty słoik z pomadą, z widocznemi w niej śladami palców, był nareszcie krzyształowy, pstro namalowany flakonik, z ogromnym, tulipanowego kształtu, również krzyształowym wierzchem, z którego sterczał na pół rozwinięty pączek ciemnopąsowej róży, świeżo zapewnie z wazoniku urwany. Jednem słowem: w całem tego pokoju przystrojeniu, kłócącem się różnorodnością sprzętów, znać było kobietę młodą, znać było folwarczne zwyczaje, z napływem jakimś niefolwarcznych nawyknień; znać było nieporządek połączony z pretensyą. Przed zwierciadłem stała dziewczyna młoda, hoża, dorodna. Była to panna Aniela Pikulanka, jedynaczka znanych już nam ekonomstwa. I była wykapaną ich córką, bo oba typy, i matki i ojca, łączyły się w jej twarzy i całej postawie. Po matce to jest po Łużeckich, wzięła wzrost potężny, wspaniale i dumnie wydęte usta, za któremi wszakże ledwie zdołała ukryć za długie nieco zęby. Po ojcu, to jest po Pikułach, wzięła zdrową i czerstwą cerę zawiesiście obszernej twarzy, i należytą okrągłość wszystkich kształtów, skłaniającą się mimo sznurówek wiecznie trzęsących, i pączków wiecznie pękających, ku znakomitemu roztyciu się. Była to zresztą przystojna dosyć dziewczyna, bo jeszcze świeża i młoda, z oczami blado niebieskiemi, lecz szczególnego wyrazu, chociaż starała się im go dodawać wszelkiemi siłami; z włosami których barwa złotawa, zakrawała nieco na tę przez Niemców tak nazwaną barwę impertynencko blond; z ustami nareszcie, których zmysłowa pełność, i zdrowa, żywa rumianość, łącząc się z całą postawą i wszystkiemi kształtami, pełno i zmysłowo zaokrąglonemi, nadawały jej typ piękności, którą nazywają po prostu pięknością praczki, wzbudzającą zwykle uczucia silne, choć niedługo trwałe, i niewielce platoniczne. Po całym wyrazie twarzy, nic nieznaczącym, chociaż nakręcanym sztucznie za pomocą mrużenia i przewracania oczów, i sznurowania ust, niktby się nie domyślał, że w domu rodzicielskim uchodziła za ósmy, dziewiąty i dziesiąty cud świata, a to wdzięków, rozumu i talentów. A gdy mowa o talentach, wspomnieć wypada, że w kąciku na różowej wstążeczce wisiała gitara, na której panna Aniela głosem silnym w skali, wszakże muzycznej żadnej niemającym wprawy, wyśpiewywała czasem piosnki rozmaite o Filonie miłym, o romantycznym Alkarze i Eminie, a nawet słodką, poetyczną pieśń: Wstał wietrzyk...., która zawsze wyciskała z jej oczów rozkoszne łzy rozczulenia. O rozumie zaś panny Anieli świadczyło kilka romansików przeczytanych, których praktyczne zastósowanie do własnego życia poznamy w dalszym ciągu naszej powieści.

Jak mówiliśmy, panna Aniela stała przed zwierciadłem,

i z minką szczególnie pretensyonalną przypatrywała się własnym wdziękom, kończąc dzienny swój strój, i próbując twarz swą ubrać w uśmiech i wyraz na poły zalotny, na poły boleśnie romantyczny. Wyraz ten był jej ideałem, do którego dojść było panny Anieli ciągłem usiłowaniem. Być bladą i chudą, było jej najwyższem życzeniem, które, by przeprowadzić, udawała się nawet do octu, który musiał uledz wszakże przed jej silnem zdrowiem. Ustrojona zaś była w sukienkę różową, i szalik miała różowy, bo barwę różową przenosiła panna Aniela nad wszyskie inne; pasek tylko był czarny, skórzany, lecz by prawdę wyznać, niknął zupełnie wciśnięty w jej pełne kształty. I na dokończenie stroju, wetknęła w jedną stronę warkoczu zielony listek rozmarynu a w drugą pączek róży, z flakona wyjęty. I zadowolona sobą, odwróciła się na chwilę ku okienku otwartemu, bo jak mówiliśmy dzień był pogodny, wiośniany. Okno to wychodziło na ogród gospodarski, na grządki podzielony, kilkunastą tylko drzewami zasadzony. Przed samem jeno okienkiem panny Anieli była niejako próba klombu kwiatowego, kilko-calowym trawnikiem otoczonego, z dwoma po bokach krzakami bzowemi. Rodzaj ścieszki, która się od okna zaczynała czy na oknie kończyła, dzieląca rzeczony kląb na dwie równe części, i zydelek drewniany, nie zbyt wysoki, stojący w alkierzu przed oknem, dowodziły, że panna Aniela jako prawdziwie romantyczna dziewczyna, lubiła przechadzkę, na którą by nieprzechodzić przez drugie izby, rzeczywistością gospodarską rażące zapewne jej wyższy umysł i czucie, zwykła była wybiegać przez nizkie okienko. Raz jeszcze ostatni wzrok czuły rzuciła na zwierciadło, i lekko oparta na łokciu, patrzała przez okienko, z którego widok niedaleki, przebiegłszy kilka jabłoni i parę pokrzywionych gruszy, kończył się na płocie prawdziwie podolskim bo rzadkim, nie wysokim, i tu i owdzie doskonale już podziurawionym. A może też oko jej tonęło dalej w błękitnem niebie, goniąc za myślą, puszczoną w błękit niebieskich migdałów.

I nagle mignęło coś za płotem. Snać Aniela dostrzegła coś ciekawego, czy oczekiwanego, bo wnet zatrzeszczał drewniany zydel pod jej pulchną i szeroką, w niebieski skórkowy trzewik ledwie wciśniętą nogą; i choć może nie lekko, ale zgrabnie i szybko, znalazła się piękna Pikulanlanka w ogrodzie i po kilku połyskach różanych jej fałdzistej sukni, była już przy płocie, zasapana nieco, z bijącem nie tyle sercem ile łonem, ale uśmiechającą się z radością i uczuciem do..... a jużciż nie do płota! O, nie! Za płotem stał młodzieniec, który powierzchownością swoją zasługiwał i na ten uśmiech i na bijące łono. Był to wysoki, wysmukły i przystojny młodzieniec, o rysach regularnych, włosach czarnych jak heban, a oczach szafirowych, piękniejszych zaiste od wszystkich niebieskich migdałów panny Anieli. Na tej pięknej twarzy, bardzo jeszcze młodej, bo nad ustami ledwie zaczynał się czernić mały jakby pędzlem na aksamicie namalowany wąsik, nie było oczywiście szczególnego wyrazu, ale była żywa, roztrzepana nawet wesołość, silne zdrowie, i ta pewność siebie która wierzy w własne siły, o niczem nie wątpi, i niczego się nie boi: na tej twarzy był prawdziwy, silny wdzięk męzki, który jak uczy doświadczenie, niebezpieczniej od najwznioślejszego wyrazu, pociąga za sobą oczy i serca nie tylko wiejskich, ale i miejskich dziewcząt. Cała jego zresztą postawa, wszystkie ruchy, i strój, choć nie wykwintny, ale szczególnie staranny, przemawiały za jego wyższem w świecie stanowiskiem.

Młodzieniec uśmiechnął się na widok różowej dziewczyny, uśmiechnął słodko i uprzejmie, uśmiechnął się usty i wzrokiem czułym, ale przenikliwym; był wszakże w tym uśmiechu lekki odcień szyderstwa, które tak często towarzyszy pewnej siebie zarozumiałości. I porwał Anielę za jej tłustą rękę, by bliżej do siebie przyciągnąć, a drugą ręką starał się objąć jej szeroką kibić, co było wszakże nie tak łatwem przedsięwzięciem. I przycisnął ją trochę do siebie, trochę do płota, i wyrzekł głosem dźwięcznym, równie niebezpiecznym, jak cała powierzchowność.

— Jak się masz Anielciu, Anielciu droga!

— Panie Kazimierzu! co robisz? — zawołała usuwając się wstydliwie.

Lecz i usuwanie się i wstydliwość nic nie pomogły, bo pan Kazimierz przegiąwszy się przez płot, silny i donośny złożył pocałunek na rumianych ustach panny Anieli. Była li to zupełna niespodzianka trudno odgadnąć, to pewna, że panna nic na tę napaść niepowiedziała, palcem jeno pogroziła, z wyrazem więcej zalotnym niżeli gniewnym.

— Chodźże teraz Anielciu droga!

— Gdzie? zapytała z zadziwieniem, nadto naiwnie wymówionem, by miało być koniecznie szczerem.

Przejdziemy się trochę tam ponad stawkiem.

— A jak kto zobaczy.

— Topole takie wysokie! a potem, wszakże to nie...

— Nieraz pierwszy! chciałeś powiedzieć panie Kazimierzu — przerwała Aniela, próbując spojrzenia i westchnienia, godnego tych słów. Westchnienie mianowicie udało się jej silne i wyraziste.

— Nieraz pierwszy! — powtórzyła głosem który z romantycznego przechodził pomału w płaczliwy. Prawda! wielka to prawda! Bo cóż ja winna, kiedy ja ciebie panie Kazimierzu kocham.

— Kochasz mnie! — ozwał się pan Kazimierz z zapałem szczerym nawet, bo był za młody jeszcze, by go to słowo kocham znudzić już miało. Dla młodego słowo to ma jeszcze dźwięk niepospolity, czarujący, i poruszy serce młode, z jakichkolwiek wyjdzie, mniej czy więcej arystokratycznych ust, byle te usta były młode, ładne dosyć, a mianowicie całować gotowe. I tu był w rzeczy samej ten

wypadek. Bo tak się rozczulili oboje tym dla obojga miłym słowem, że nim się upamiętali pierwszy pocałunek powtórzył się kilkakrotnie, i z jednej i z drugiej strony.

— Czy cię kocham! — zawołała głosem mniej romantycznym może, ale szczerszym zapewne, bo w tej chwili, mimo dodatków pretensyonalnych, czuła ona wewnętrznie, że kocha i bardzo kocha, i więcej kocha niż potrzeba, tego młodzieńca ładnego, o szafirowych oczach. W tej chwili szczerości, gorącym pocałunkiem wywołanej, kochała ona nie bogatego i tyle od niej wyższego dziedzica kilku włości, ale kochała tego do którego ją serce młode ognistym porywało zapałem.

— Kocham z całego serca! — dodała bez wszelkiej zalotności.

I wśród pocałunków nowych, za pomocą silnej dłoni pana Kazimierza znalazła się nagle na drugiej stronie płotu.

— Ale cóż z tego! — ciągnęła dalej, a chwilowa szczerość ustępowała pomału przed rozważającym rozumkiem Pikulanki.

— Cóż z mojej miłości?

— Powiedz, z naszej miłości! — przerwał pan Kazimierz dosyć zgrabnie jak na takiego młokosa. Chciał bowiem rozmowę sprowadzić znowu na tryb sentymentalny, po którym jak wiedział można było pannę Anielę długo i daleko prowadzić!

— Jakiż będzie koniec! — ciągnęła dalej uparcie!

— Będziemy się kochać i całować — całować i kochać! — odrzekł znowu pan Kazimierz i słowa wyrzeczone stwierdził najwyrazistszym czynem.

— A dalej?.. o ja nieszczęśliwa! — jęknęła, westchnęła, a nawet zapłakała, i to szczerze może nawet. Szkoda tylko że zapóźno.

— A dalej.... będziemy się kochać... dopóki nieprzestaniemy! — dodał z wesołem roztrzepaniem.

— Panie Kazimierzu! bez czucia jesteś! bez żadnej litości! — wyrzekła z całą romantycznością, której dobywała ze wspomnień wyczytanych. Ty może przestaniesz... ale ja... chyba w grobie.

— Ale gdzie tam moja Anielciu! ja ci ręczę, że ty mnie pierwej przestaniesz kochać niżeli ja ciebie.

— Niewdzięczny! srogi! a gdzież twoje przysięgi? — wołała dalej, i skłaniała się, jakby już zemdleć chciała. Biedna Aniela nie wiedziała jak jej to nie do twarzy, która zblednąć nie mogła, jak jej nie do całej figury, wzbudzającej mimowolny przestrach swym, w razie zemdlenia dla trzymających rąk niebezpiecznym ciężarem.

Na zagadnienie o przysięgach, zmieszał się trochę pan Kazimierz, bo zapewne pamiętał dobrze, iż się nie obeszło bez takich, a był jeszcze za młody, by mógł być zupełnie głuchym na głos wewnętrzny, który mu mówił, że przysięgi zawsze są święte, choć ekonomównie tylko czynione. Lecz z drugiej strony miał za sobą doświadczenie ze wszystkich romansów czerpane, których koniecznością są przysięgi, a niedotrzymanie przysiąg, koniecznym niemal warunkiem romansu, któryby inaczej na pierwszej skończyć się musiał kartce. Był zatem w ambarasie tylko, jak te piękne teorye biednej Pikulance wytłumaczyć, bo o dotrzymaniu przysiąg by myśleć, ani mu przez głowę nie przeszło. Zaklicki i Pikulanka! byłoby za co zginąć na wieki w oczach świata do którego należał. A nareszcie pan Kazimierz był zanadto roztrzepany, zanadto żądny użycia, aby się długo i sumiennie zdołał zastanowić nad takim wypadkiem, który przecie w jego świecie nie był pierwszym, i zapewnie nie będzie ostatnim. Lecz że pan Kazimierz niebył ograniczony, i miał już widoczne powołanie do zgrabnego zwodzicielstwa, wnet się opamiętał, i nie chcąc zdybać się z niebezpieczeństwem oko w oko, obszedł go, strategicznego używając wybiegu.

— Anielciu moja! — wyrzekł głosem miękkim: dobry czas wybrałaś do wymówek, wtenczas kiedy ja przyszedłem ciebie pożegnać.

— Pożegnać! — zakrzyknęła Aniela na prawdę przestraszona, bo jej mimowolnie prócz żalu za kochankiem przyszły na myśl wszystkie ztąd wynikłe straty materyalne. Straty tego wykształcenia jakie czerpała z jego towarzystwa, z książek, z obrazków jakie jej dawał, i z tylu innych ładnych prezentów, któremi dotąd tak dumnie przodkowała, czy to w kościele, czy w miasteczku, czy na zabawach, przed innemi swego stanu rówieśnicami.

— Muszę wyjeżdżać! — odpowiedział pan Kazimierz dosyć przyzwoicie, bo z należytą tragicznością tonu i postawy.

— Gdzie? kiedy!... Kazimierzu! zmiłuj się! mów! — wołała Pikulanka niemniej tragicznie.

Lecz rozmowa ta w chwili najinteressowniejszej została nagle przerwaną...

— Paniczu! proszę pana! — ozwał się głos jakiś tuż przy nich.

— Znajda przeklęty! — mruknęła Aniela w pół głosem.

— Czego chcesz! zawołał pan Kazimierz, przybierając ton mowy dumny, pogardliwy, czysto arystokratyczny.

I nic dziwnego; bo nowo przybyły był w siermiędze, jakkolwiek czystej i porządnej, a nawet staranniej wyszywanej i wykrojonej surdutowym sposobem, ale zawsze siermiędze tylko. Był to chłopiec młody, którego cała powierzchność dziwnie się kłóciła z tą siermięgą, i z pogardliwym tonem, z jakim go przyjęli obaj kochankowie. Twarz jego, młodsza nawet od wieku młodzieńczego, jaki wnosząc po pełnych i dorodnych jego kształtach mieć mógł, była nie tylko przystojna, ale nawet zajmująca. Nie tylko bowiem wszystkie rysy jego były nadzwyczaj regularne, płeć szczególnie biała, oczy ciemno niebieskie, czarnemi rzęsami przykryte, miały blask i wdzięk niepospolity, i harmoniowały nie pospolicie z ciemną i połyskującą barwą

włosów długo noszonych; ale więcej, i na twarzy i w oczach był wyraz zajmującej słodyczy, która zdawała się dobywać z wewnątrz i rozpromieniać go blaskiem wewnętrznej, wyższej nad towarzyskie jego położenie wartości. Na tej twarzy była pojętność skromna i smutna jakaś tęsknota; były to wyrazy ściśle odpowiednie temu, czem był w istocie i co znaczył w rzeczywistości.

— Pan woła za paniczem, odpowiedział młody głosem równie harmonijnym, jak jego cała powierzchowność.

— Cóż tobie do tego? odrzekł panicz jeszcze pogardliwiej.

— Pan się niecierpliwił, więc przybiegłem.

— A zawsze wyszpiegujesz mnie, gdzie się tylkoruszę.

— Myślałem, że lepiej bym ja tu pana znalazł, niżeli kto inny, któryby panu . . .

— Milcz, już ja idę.

— Przeklęty znajda! szpieg! mruknęła panna Aniela głośniej nieco.

— Moja Anielciu!.. idę... ale wieczorem... jak zwykle.

— Panie Kazimierzu, po tem coś mi powiedział! odrzekła Aniela, spuszczając oczy wstydliwie.

— I opowiem ci wszystko moja droga Anielciu, wytłumaczę wszystko.

Słowa te, a więcej jeszcze wzrok ognisty, przenikliwy, który im towarzyszył snać zniewoliły Pikulankę, która lekkiem kiwnieniem głowy oznajmiła swoje przyzwolenie, okraszone jeszcze potężnym rumieńcem i równie ognistem spojrzeniem.

I oboje rzucili jeszcze pogardliwe spojrzenie na młodego chłopca, skromnie na boku stojącego; i oboje mruknęli pogardliwie: Znajda!.. i rozbiegli się; pan Kazimierz ścieszką wiodącą w górę do dworu, panna Aniela przez płot do folwarcznej zagrody.

A chłopiec spojrzał za niemi bez gniewu, bez oburzenia; snać przyzwyczajony do tego. Dwie łzy tylko, łzy bolu wewnętrznego zawisły mu na długich rzęsach.

Właśnie wracali chłopi z obrachunku, rozchodząc się w różne strony. Kilku z nich przechodziło koło małego chłopca, i wszyscy spojrzeli na niego jeżeli nie z pogardą, to przynajmniej z lekceważeniem, mówiąc do siebie, z rodzajem odrazy.

— Ot znajda!...

— Znajda! znajda! zawsze te słowa! przemówił biedny chłopiec sam do siebie, spuszczając głowę. Cóż w tem złego?.. że ja sierota, że ja niemam nikogo na świecie.

I wzniósł biedny chłopiec oczy do góry; i snać pojął że nie jest przecie sam na świecie, kiedy tam z góry czuwa nad nim opatrzne oko, bo usta jego poruszyły się do cichej modlitwy, a na twarz jego wystąpił wyraz rezygnacyi, który jeszcze więcej upiększył jego ładną twarzyczkę.

On był znajdą! To był cały jego grzech. Trudno to wytłumaczyć, ale tak jest w rzeczysamej, i nieraz zdarza się sposobność przekonania się po wsiach, gdzie się trafiają takie biedne istoty, przybyłe bóg wie zkąd, które tylko tyle wzbudzają miłosierdzia, na jakie przecie w wysokim zasługują stopniu, że im pozwalają wyżebrać kawałek chleba, rzucany im zwykle jeżeli nie z pogardą to pewnie z lekceważeniem, obojętnością, a nawet z rodzajem odrazy, jakie się ma dla istot upośledzonych fizycznie czy moralnie. I jest to zaprawdę największe, najokropniejsze upośledzenie! być sierotą na tym świecie, być obcym, bez przytułku, bez współczucia! Ale zkądże ta odraza tak po wsiach upowszechniona. Przyczyny onej trzebaby chyba szukać w ich przesądnych wyobrażeniach o religii i moralności. Znajda u nich to istota palcem boga naznaczona za jakieś grzechy obce, które sama odpokutować musi. Dzieje biednego chłopca o mało różnią się od dziejów podobnych jemu sierot, które można nie w jednej zdybać wiosce.

Raz wśród zimy, a był to dzień mroźny i wietrzny, przywałęsała się mały chudy i nędzny chłopczyna do Chałupiniec. W pół nagi, zsiniały cały, trząsł się od zimna, i biegł naprzód co miał siły, instynktem ratowania się wiedziony. Co chwilę padał, bo już mu sił brakowało, i brakowało już nawet biednemu chłopczynie łez, tej największej w cierpieniu pociechy; ostatnie bowiem łzy jego przymarzły mu do zapadłych od nędzy policzków. Psy wiejskie poszczekiwały za nim, czyli raczej za temi, psom wszystkim na wsi nienawistnemi łachmanami. Miałożby to dowodzić, że psy, wychowywane przez ludzi przyjmują, ten ich wstręt do wszelkiej nędzy. I biegł chłopak pięcioletni może, i padał i podniósł się, i czasem tylko jęknął płaczliwym głosem, głosem dziecięcia! Ale i głos już w nim ostygał; były to już ostatnie natężenia sił żywotnych. Za szczekającemi psami niejedna twarz wyglądała z chat wieśniaczych, i cofnęła się nazad obojętnie. A były między patrzającemi i kobiety nawet, i nierozczuliły się na widok dziecięcia w tak okropnym stanie. Dowód to okropnej nieczułości, niestety chłopkowi naszemu właściwej! Ale czyliż należy to kłaść na karb jego moralnego zepsucia, czy moralnej niższości? Życie całe w nędzy, widok ciągłej wokoło nędzy, i brak lepszego wychowania; to są podobno konieczne przyczyny tej nieczułości, która w stosunku do siebie i do drugich przybiera nawet nieco fatalistycznej cechy. Zdjąwszy z ciała jarzmo nędzy, a z umysłu jarzmo ciemności, a zdejmie się zarazem z duszy, ta najokropniejsza skorupa katarakty, która ją robi ślepą na wszelkie silniejsze wrażenia. I po raz ostatni upadł chłopaczek biedny twarzą w śnieg. Charty biegnące drogą opadli go, porywając łachmany ostremi zębami swemi. To było jego szczęście. Ostatnim instynktem wiedziony, zapiszczał chłopak ostatnim głosem. Głos ten sprowadził myśliwego, wracającego z polowania.

Nu! Harap! — krzyknął na charty pan szambelan, i szybkim ruchem zeskoczył z konia. Jeżeli miał jakie wady, jeżeli nawet popełnił jaki w życiu nieprawy uczynek, sprawiedliwość boska przyjmie mu zapewne w odwet to uczucie litości czystej i szczerej, z jaką porwał biednego w pół zmarzniętego chłopca na ręce, a silnym głosem przywołał zagapionych chłopków, i kazał chłopca zanieść za sobą do dworu. (D. c. n.)

Prośba majtka.

„Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,
Niżli żyć gnijąc po trochu na skale."
Giaur, St. 50.

Cicho, tak sennie na morskiej przestrzeni!
Śpią wiatry, śpi żagiel i majtek się leni,
Bo w ciszy krew stygnie, dłoń jego martwieje,
Dla niego tem burze, czem innym nadzieje.

Patrz, czoło pomarszczył, brwi gęste nasrożył,
Wzdął piersi, dłoń szorstką na sercu położył,
I groźnym pojękiem zawołał: „mój Boże!
Rozdmuchaj tę ciszę, rozhulaj to morze!"

„Czym przeto nie pragnął na ziemskim żyć świecie,
Porzucił chudobę, i żonę i dziecię,
Bym usechł na maszcie słuchając niedbale,
Jak lekko swawolne muskają się fale;
O nie! nie! ta cisza ten spokój mię nuży!
Kto majtek, ten żyje śród wichrów i burzy!"

r. 1852. Bruno B.

Najnowsze dzieła.

TYPY I CHARAKTERY
przez
I. J. Kraszewskiego.

Bieżący rok przyniósł nam już nowy utwor pióra Kraszewskiego: Typy i Charaktery, tom I. Są to obrobione temata, wzięte z obrazu społeczeństwa polskiego. O zaletach tego dzieła tyle powiedzieć możemy, że jest rysunkiem pobieżnym znakomitego artysty. Dzieło to składa się z jedynastu postaci, rzuconych pospiesznie, nazwanych przez autora: typami i charakterami. Każda z tych postaci społeczeńskich stanowi rysunek osobny i całkowity. Niektóre z nich udały się lepiej, w innych widzimy zaniedbanie i pospieszność. Przejdziemy je koleją.

Dobry człowiek. Typu tego niepotrzeba koniecznie szukać w społeczeństwie polskiem. Jest on ogólnie ludzkim. Wszystkie narody mają i znają tą postać, a Francuzi i Niemcy opisali je z profilu i en face. Mianowicie ostatni z systematyczną skrupulatnością odwzorowali nam takiego „dobrego człowieka" w licznych rozmiarach i wydaniach. Mimo tego temat ten, podjęty przez polskiego pisarza, mógł co do istoty swojej, być przedmiotem tem więcej jego pióra godnym, im częściej napotykamy go w naszej społeczności *dobrych* to *ludzi* u nas najwięcej, a typ ten tak zdaje się być u nas rodzimym, że nie wiele zbłądzimy, twierdząc, że jak z Ameryki kartofle, tak z nad Wisły „dobrzy ludzie" po reszcie Europy się porozkrzewiali. Jest to bowiem suknia wygodna, która nie podpada ani modzie ani postępowi, w której wszędzie i zawsze można z przyzwoitością wystąpić. Jest to szeroka opończa, którą wszystko pokryć można, niedostatek w głowie, a słabość w charakterze. Takie typy są u nas upowszechnione; dla tego to przeraża u nas każdy śmielszy, więcej zdecydowany charakter, który pragnie życia i ruchu, a najłagodniejsze uzewnętrznienie się jego okrzyczane będzie, jako krok antispołeczny i zbrodnia. Wieleż to o tym typie, tak u nas rodzimym, dałoby się powiedzieć? W jak różnem oświetleniu występuje on w naszych stosunkach społecznych, narodowych; jak często wpływa nawet na dzieje! Owoż typ ten schwycony jest przez autora z człowieka głupiego, niedołężnego, a który niby dla tego nim się staje, że ma dobre serce. Tymoteusz, vulgo Tymek Zahara, jest to syn starego szlachcica z pogranicza Litwy. Będąc dzieciakiem słucha wszystkich, którzy mu tylko co rozkażą, zarówno rodziców i przełożonych jak i sług. Przez dobroć serca swego jest wszędzie kozłem ofiarnym, a gdy rozdwojenie między żakami godzić usiłuje, bywa ze szkół wypędzony. Jedzie na wieś i gospodaruje. Jest dobry, więc go wszyscy drą i oszukują. Matka sypie swemu głupiuteńkiemu synalowi morały, ale rzuca groch o ścianę. Skruszony synal przyobiecuje mieć rozum, ale że go nigdy nie posiadał, więc go i mieć nie może. Objadano, opijano, oszukiwano biedaka, który z wesołą miną znosi te napaści i wie, że go rujnują, ale niema odwagi naprawić swój żywot. Wreszcie ktoś z żartu, o zakład, żeni Tymka w sąsiedztwie, na co on nietylko najchętniej przystaje, ale nawet jest szczęśliwym. Lecz dobroć Tymka nie wyszła przecie na dobre. Przez nią został on wprawdzie deputatem, ale to go właśnie zrujnowało. W końcu zaziębił się z grzeczności, uczuł chorym i niepowiedział słowa, ażeby nie robić niepokoju; dostał gorączki, a w niej uśmiechał i kłaniał się jeszcze, a umierając wyrzekł cichuteńko, ostatnie: *Całuję nóżki acana dobrodzieja.*

Trafniej skreślony jest obrazek drugi: *Szlachcic.* Jest to w istocie typ, «po którym już tylko pozostały kości», a jeśli gdzie żyje, to już dogorywa. W tej to obawie może przypatrzył mu się lepiej Kraszewski, a *con amore* odszkicował. W kilku pociągach widać już mistrza, a w całym rysunku jest myśl wykończona, chociaż przy oświetleniu jednostronnem. *Szlachcic* jest to postać historyi narodowej, jest to uosobienie Polski, jej wad i zalet historycznych. Temat ten arcypoważny, skarłowaciał nieraz pod piórem naszych pisarzy; w ostatnich czasach charakterystyką szlachcica jest: że bije i pije. Biedny ten polski szlachcic! Nie myślałże on nigdy nad palcaty i roz-

struchany? Niemożesz on nigdy być zwierciadłem wyobrażeń i usiłowań swego wieku, swojej społeczności i kraju? Czyż Polska nie miała ludzi myślących, jeżeli miała literaturę swoją? nie miała mężów stanu i zasady, tylko opojów i hałaburdników?...

Szlachcic Kraszewskiego jest to szlachcic starej krwi. Kocha swój wiek i wyobrażenia w których zrósł, ale kocha je zbytecznie, i ani krok niechce od nich odstąpić ani też *postąpić*. Jest to konserwatysta, w najściślejszym znaczeniu słowa. W zatracie ducha staro-szlacheckiego widzi zatratę społeczeństwa i kraju. Z tąd jego rzewny, zaprawiony goryczą głos, i przeczucia niedobre.

Pan Mateusz Zabierza, miał wioskę w lidzkim powiecie, z dala od dróg, od ludzi, od świata. Sąsiadów mało, przyjaciół wielu, familją nie liczną, ręka Boża dotknęła go: traci żonę i czworo dzieci koleją. Sam został, ale od Boga nie odszedł. Życie jego niewypaczyło się, a lubo głowę ku ziemi pochylił, duch jego był niezłamany. Wiek XVIII. przeszedł mimo niego, i nietknął jego wyobrażeń. *Szlachcic* przepłynął nie zbrukany epokę brudów, i czysty stanął w nowszej, ale dlań niezrozumianej i obcej. Świat drgnął na swej osi, ludzie szukali dróg nowych, umysły skrzydeł do lotu, ręce prac świeżych, piersi świeżych nadziei. Szlachcic tego nie pojął. Niemógł przypuścić aby to, co żyło, mogło się przeżyć i umrzeć. Czuł potrzebę przeszłości, która go z sobą zabrać zapomniała, ale jej już nigdzie nie znalazł. Cmentarz pozabierał mu rówienników, a między żyjącymi był on tułaczem. Osamotniał, patrząc w przeszłość, bo ci co żyli, wyparli się jej. Spadkobierca jego, wnuk po bracie, chłopiec młodszego pokolenia, jest dla niego «karą boską.» Nie jest on wprawdzie złym, mawiał stary, ale do czegóż to podobne? Francuszczyzna wlazła do naszego domu, i toż go zgubiło. Zrobili z niego cudaka, pół psa, pół kozy!.. Dom, życie i mowa jego były to relikwie przeszłości. Komnaty w szpalery, bokówki, alkierze, apteczka, sień ogromna, słup w dziedzińcu ze trzema kółkami, wierzchowce w pogotowiu, siodła jeszcze od wjazdów solennych, rzędy i broń, futra po pradziadach, delija z czasów Jagielonów, starzy słudzy, liczni nad potrzebę, stół otwarty dla każdego, wszystko to wraz z gospodarzem było zabytkiem przeszłości. Świat przybierał nowe formy, język, obyczaj, on trwał po swojemu. Adolf, «ostatni z Zabierzów» czyta mu książki, wystawiające jego epokę. Ale «szlachcic» widzi tylko same karykatury. On swoją epokę inaczej widział. «Porzuć chłopcze te książki, one tak przedstawiają obrazy z mojej społeczności, jak ty jesteś przedstawcą Zabierzów! Przez waszą malaturę żupanów wszędzie widać kuse poły niemieckiego fraka. Oj! oj, gdybyście wy w tych czasach żyli, jakby to się wam wydało! Szyderstwem, śmiesznem bazgraniem... Najlepsze wasze obrazy są jeszcze karykaturami, wierzaj mnie i daj spokój.

— A cóż nam z przeszłości zostanie, pyta Adolf.

— Nic i nic. Kiedy Bóg co chce znieść z oblicza świata, to i obraz i pamięć jego zetrze prawicą swoją, nie pozostanie tylko mogiła i żal!!» Adolf wyjeżdza za granicę i oświadcza się jakiejś niemieckiej grafiance. «Obce grafiątko, rzekł na tę wieść stary, kto tam ich wie czy szlachcianka? Ich szlachectwo dla mnie jak niemieckie kazanie, albo to oni mogą być szlachtą?»

Od lat trzydziestu ani w domu ani w ubraniu «szlachcica» nic się nie zmieniło. Życie płynęło powolnie jak chód zegarka, ciche i jednostajne. Sroka wróżyła gościa z kotem razem, śmieciuchy zapowiadały burzę, koguty piały na odmianę, dymy się na wilgoć wlokły, jaskółki wysokim lotem obiecywały pogodę... Myśl śmierci była mu nieustannie w głowie i na ustach. Mimo to nie zaniedbywał pracy. Trumna schła w prawdzie na strychu, ale tymczasem nasypano ją żytem. Grób od pietnastu lat wymurowany, odzież w podróż do wieczności dawno przygotowana. Światło w porze oszczędnie kupione, dukaty na pogrzeb osobno odłożone, konie pod karawan wyznaczone. Przy cnotach miał nasz chorąży i wady szlacheckie. Dusza jego rwała się zarówno do szabelki jak do prawa. Ostatni jego proces był o półtora zagona a trwał lat 10. Szlachcic wiedział że to ostatni i dla tego sączył go po kropelce, jak drogi likwor życia. Była to z grobu powstała postać, patrząca na świat nie przetartem okiem mogiły i z litością śledząca ruchy nowego życia. »Wiek wasz, mawiał, jest u waszmościów wiekiem postępu, chyba dla tego, że nieustannie o nim mówicie. Widzę i ja postęp w szyciu butów, w pieczeniu chleba, w kręceniu sznurków, i tysiąca błazeństw, bez którychby się ludzkość doskonale obejść mogła, jak się wieki obchodziła, ale w duszy, obyczajach, w żywocie społecznym nie widzę postępu. Dumaście tylko przesiąkli od pędraka, który koszulę w ręku nosi, do młokosa co się golić poczyna, nim brody dostał. Cała przeszłość wam śmierdzi, bo jej nierozumiecie wcale, wszystko co było, jest dla was złem. Szlachcic zawadyaka był i adulatorem panów, panowie przedajni i zdrajcy. Wyjątki u was stoją za całość. Przeszłość jest dla was księgą, siedmiu pieczęci zamkniętą. Jak wszystko co skończone, przeżyte, z czem się zerwał stosunek żywy, została litera martwa przeszłości tylko, którą jak owe herkulańskie *antiquitates* dobywać musicie okruszynami z popiołów. W książkach został dla was tylko szkielet, ale krwi, ciała i żywota niema. Ja już żyłem w latach upadku, ale jeszcze chwyciłem tchu z żywej epoki. Jak zmęczona burzą woda po zacisznych kątach zachowuje się przejrzystą, dopóki powolny brud wszędzie jej nie zapłynie, tak i u nas długo były czyściejsze zatoki. Były, były, jam z nich pił jeszcze« . . . .

Zdrów, po modlitwach, położył się spać — rano zasnął dłużej — bo na wieki. Kazał pochować z sobą rzeczy ulubione, a na pomnik przygotowany był już kamień, na którym tylko daty brakowało. Dziesięć lat jak umarł, a daty na kamieniu jeszcze nie ma. . . . .

Smutny obraz odumierającej przeszłości! Autor rzucił te rysy rzewne i tęskne z właściwym sobie talentem, a zakończeniem oskarżył potomność o niewdzięczność. Szkoda wielka, że ten „szlachcic" patrzy się na swój wiek przez wąskie okienko swojej zagrody, i że w środku skrystalizowanych wyobrażeń zasnuwa się jak jedwabnik we środku swoich nici, zkąd jednak skrzydlasty nigdy nie wynijdzie! Jak piękną, jak świętą byłaby jego postać reprezentująca nam wiek siły i naturalnego rozsądku w gronie charakterów przechodu i przerodzenia się! Ale autor chciał tylko jeden moment tego obrazu pochwycić i pochwycił go po mistrzowsku, z opuszczeniem wszelkich akcesoryj. Zatrzymaliśmy się najdłużej przy nim, bo nas zajął i zachwycił jako najudatniejszy ze wszystkich jedynastu. — (D. n.)

Teatr.

Zofia Morsztynówna dramat w 4. aktach, Dr. Stanisława Pilata.

Franciszek Morsztyn, kasztelan radomski ma córkę Zofią, o której rękę ubiegają się: kasztelan lubelski Tarło dla syna swego, jenerał szwedzki Horn i syn ministra szwedzkiego, ajent dyplomatyczny, Oskar Pipper, który przez skoligacenie się z możnym domem polskim zamierza wpływ szwedzki w Polsce ustalić. Szala jednakowo przeważa się na stronę Tarły, krewnego Morsztynów, ku któremu i panna czuje od dawna afekt. Morsztyn przyjmuje oświadczenie Tarły i młodzi zostają zaręczeni. Lecz wtem Karol XII. najeżdża Polskę. Morsztyn nienawidzący Sasów przechyla się na stronę Szwedów, Tarło staje przy królu. Oto dyalog obydwóch:

T a r ł o. Niepojmuję, jak można dobro kraju budować na czczych obietnicach, których skutek zawisł od losu wojny. Czy to Szwedom wierzyć mamy, którzy bez słusznego powodu nachodzą Wołyń, niszczą pożogą i kontrybucyami z udanych lub zmyślonych uraz do króla? A przytem oświadczają, że nie przeciw Polsce, lecz przeciw jej królowi niosą wojnę. (śmieje się) Niechaj rozumie kto może, te szalbierstwa! W Polsce, przeciw królowi, a nieprzeciw Polsce! — M o r s z t y n. Mości Dobrodzieju! któż te nieszczęścia sprowadził na Polskę, jeźli nie król August? kto zerwał pakta oliwskie, według których Kurlandya do Szwecyi należała? kto bez przyzwolenia sejmu tworzył ligi za granicą, i gotował wojnę Szwedom? kto sprowadził wyprawę na Inflanty i klęski na Litwę? Król August! — Wstydź się Waszmość! od godziny wyprawiasz panegiryki Sasom, jakby kraj twój w złote ramy oprawili! jakbyś niewiedział, że kto daje powód, nosi całą winę za skutki. — T a r ł o. Prawy obywatel dochować winien, co należy królowi swemu: wierność! posłuszeństwo! — Ja ich dochowam, jakiekolwiek losy zdarzą nieba! — M o r s z t y n. Prawy obywatel strzeże dobra kraju, a ja go przy Sasach niewidzę. — T a r ł o. Ojcowie nasi dobywali szabel za wiarę i króla; ty przeciw wierze i królowi! Bo przyznaj, panie Fráńciszku, że Sztokholm nie Rzym, a Karol niesiadł na naszym, na tronie królów naszych. — M o r s z t y n. (Gwałtownie) Nie o Karola tu chodzi, lecz o Piasta, którego Karol na tron wiedzie! Przebóg! czy się Waszmość krwi własnej zapierasz? czy zapominasz, że jako szlachcic sam na tym tronie zasiąść możesz! — T a r ł o. A, teraz widzę jasno, dokąd Was unosi ów zapał szwedzki. Winszuję; będę miał zaszczyt powitać sąsiada mego na tronie. — M o r s z t y n. Ja powinszuję Waszmości i krajowi, jeśli ten los na niego, lub na kogokolwiek z rodaków padnie. Lepszy Piast na tronie, to krew swoja w koronie! — T a r ł o. Lepszy tron, co prawem stoi; nie rokoszem, jak chcą twoi. — M o r s z t y n. O zaprawdę! jam tego prawa niestworzył, ani naród! lecz wojewoda malborski z hetmanem koronnym; oni i ich fakcya posadzili Sasa na tronie! — T a r ł o. Skoro taka była wola boska, że król stanął w koronie, ja z nim trzymam! — M o r s z t y n. Wolna droga do obozu saskiego, kto na dobro ojczyzny tak łatwo oczy przymruża! — T a r ł o. I do szwedzkiego wolna tym, którym duma i chęć wyniesienia się, każe być wiarołomcami, rokoszanami! — M o r s z t y n. (W namiętnem uniesieniu dobywa szabli) Ha! kto to wyrzekł! niechaj krwią opłaci! (wstrzymuje się nagle). Mój dom, prawo gościnności broni Cię! — T a r ł o. Uderz Waszmość śmiało, jeźli taka wola! Kto przeciw królowi, ten przeciw Tarłowi. (Odchodzi, zasłona spada.)

Na tem kończy się akt pierwszy. Założenie zręczne. Dyalog ostatniej, przytoczonej tu sceny, gdzie namiętność polityczna budzić się poczyna, dość silny nawet. Charakter stronnictw trafnie w tych dwóch postaciach uosobiony. Ostatni ustęp, gdzie Morsztyn dobywa szabli, a potem wstrzymuje się nagle, mówiąc: „Prawo gościnności broni cię" przypomina scenę z Z e m s t y Fredry, między Stolnikiem a Rejentem.

Drugi akt jest nierównie słabszy. Akcya nie posuwa się prawie naprzód, bo akt ten kończy się tem, co już z pierwszego aktu widocznem było, kończy się oświadczeniem Morsztyna córce, iż niewyda jej za Tarłę. Starościna, siostra Tarły, niby dworka z szkoły „kochanej Marysieńki" Sobieskiej, głównie występuje w tym akcie a jest charakterem bardzo niedokładnie skreślonym. Trudno prawie odgadnąć czy ona z wyrafinowania, z przebiegłości podaje plan Oskarowi pisania listu, w którymby oskarżył Tarłów; niewiemy czy już wtedy knuje podstęp pod Oskarem, czy też idąc za silniejszym prądem pomagać mu zamierza. Charakter ten jeśli niejest chybionym zupełnie, to jest przynajmniej niedokładnie wypracowanym. Jest w nim jakaś chwiejność, jakaś niepewność, a powiedzieć można niezgrabność nawet, nieugruntowana bynajmniej w charakterze samym. Myśleliśmy z początku, iż to artystka, Starościnę przedstawiająca, tak źle oddała tę rolę. Lecz po odczytaniu sztuki przekonaliśmy się, iż to autor tak skreślił tę postać.

August II. przegrywa bitwę pod Kliszowem. Szwedzi zajmują Kraków, którego gubernatorem Oskar Pipper zostaje. Do Krakowa także zjechała była rodzina Morsztynów, gdy ojciec pojechał do Szwedów do Warszawy. Wtem przyprowadzają tam jeńców wojennych z pod Kliszowa, między któremi znajdują się i obadwaj Tarłowie, ojciec i syn. Hrabia Oskar mając ich w ręku, zamyśla albo ich zgubić, albo zniewolić kasztelankę do oddania mu ręki. Kasztelanka zaś uwiadomiona o jego zamiarach postanawia ich ratować, oddając rękę Pipperowi. Biegnie sama do zamku do gubernatora. Scena która tu następuje jest jakby wyjęta żywcem z francuskiego dramatu, którego całą wartością jest intryga. Lecz jeźli pisarz używa wyrafinowanej intrygi, niechże przynajmniej wywijają się z niej sceny efektowe. Lecz tu pomysł nie jest nowy, a scen efektowych mało. Bo już nie jest pomysłem nowym, iż Zofia poświęcając się dla kochanka, oświadcza iż oddaje rękę innemu, ani też nowym pomysłem jest postanowienie, że gdy już kochanek będzie wyratowany, ona, nim pójdzie z nienawistnym do ołtarza życie sobie odbierze. Scen zaś jedynie na efekt wyrachowanych w polskim dramacie unikał widać autor umyślnie. Szkoda wielka, iż dla doprowadzenia dramatu do przesilenia, tak francuski a zużyty zwrot dał osnowie w tym akcie. Owe warunki przez Oskara kładzione, przysięgi milczenia, porwanie za sztylet, czy niemogło w innej więcej, jak na wiek i kraj prawdo-

podobnej a mniej znanej formie się odbyć? Czy kasztelanka aby oświadczyć Pipperowi, iż pojdzie za niego, jeźli uwolni Tarłów, potrzebowała koniecznie i to sama biedz na zamek?.. Scena ostatnia trzeciego aktu, gdy młody Tarło już po uwolnieniu swem i oświadczeniu mu przez Pippera, że kasztelanka sama mu swą rękę oddaje, idzie w dom Morsztynów, aby od Zofii prawdy się dowiedzieć, jest wyborna, a i dobrze odegrana była. (D. n.)

Rozmaitość.

* **Angielscy dziennikarze** są bez wątpienia najpierwszym i najmożniejszym stanem w Anglii, pomimo milionowych panów i lordów, pomimo izby wyższej i niższej. Ministrowie sami chwytają za pióro dziennikarskie, jeżeli już inaczej pomódz sobie niemogą. Wiadomo, iż Aberdeen i Palmerston sami pisali dla „*Times*" kierujące artykuły, gdy kwestya wschodnia zanadto boleśnie im dopiekała. Palmerston tej zimy tylko pod tym warunkiem wrócił do ministeryum, aby mu wolno było trzymać sobie osobnego dziennikarza do pisania kierujących artykułów do gazety „*Times*". Już ten sam jeden fakt dowodzi potęgi dziennikarstwa angielskiego. Wyższa i niższa izba, ministeryum i dwór są niczem bez dziennikarstwa. Czują one swą zawisłość od dzienników, i każde choćby najmocniejsze stronnictwo zatrudnia wielką ilość głów i piór. Każdy prawie dziennik opłacany bywa sowicie przez jakieś stronnictwo, którego bronić ma. Zapewne że dziennikarstwo traci przez to swą samodzielność, ale przez to także każde stronnictwo może się rozwinąć i co zamierza wypowiedzieć, to jest, jeżeli ma pieniądze. Mieć pieniądze i dużo mieć pieniędzy, to jest w Anglii warunkiem koniecznym dla wszystkich chcących zająć w świecie pewne stanowisko. Diennikarz nie należy więc także do wyjątków od tej powszechnej reguły. Potrzeba mu jedynie już nie jeniuszu ale otwartej, zręcznej głowy; aby z danego tematu mógł szybko i układnie półłokciowy napisać artykuł kierujący. Dalej jak na pisarza kierujących artykułów niemoże nikt w świecie doprowadzić, bo pisarz podobny należy do rządu całego świata. On trzęsie całym światem i może w Petersburgu i w Pekinku, w Delhi, i w Przylądku dobrej nadziei, w Melbourne i w Sewastopolu wszystkich rozradować lub zatrwożyć, najważniejsze wydarzenia unieważnić lub podnieść. Pisarza kierujących artykułów płacą bajecznie. „*Times*" honoruje często jeden artykuł po 50 funtów sterlingów (500 złr. m. k.) Pisarze ci mieszkają zwykle przy nowej ulicy Camden Town, najpiękniejszej w całym Londynie. Zajmują osobne, przepyszne pałace. Podobnie rzadko który z najbogatszej arystokracyi lub z potentatów kupieckich i bankierów mieszkać może. Pomimo tych pysznych rezydencyj schodzą się dziennikarze w tak zwanych *Parlours*, które istotnie są szynkami piwnemi. Parlury te są literackiemi knajpami. W tych samych knajpach przesiadywał niegdyś Pope, Stern, Szekspir, Milton. Tam rosprawiają po całych nocach, piją i palą cygara. Od 9tej do 12tej godziny w nocy toczą się ruzprawy, w których każdy udział wziąć może. Występują mowcy w wszystkich bieżących kwestyach z a i p r z e c i w. Tam to biorą pisane pomysły do swych kierujących artykułów. A gdy obcy ludzie się rozejdą, po 12tej siadają dziennikarze do wieczerzy i szklanki, i to wszyscy razem się zbierają pisarze najprzeciwniejszych sobie opinij i dzienników w najlepszej zgodzie. Ztamtąd przyszedłszy do domu piszą, nim spać się położą, jeszcze, co im świeżo z wrażeń zostało.

* **Wojenny parowiec śrubowy Wellington.** W walce, na którą się między wschodniemi mocarstwami a Rossyą zaniosło, pojawia się po raz pierwszy sztuka wojenna z tak potężnemi środkami jakich dotąd w żadnej wojnie na świecie nierozwinęła. Mianowicie flot podobnych niewidziano jeszcze na morzu a w szczególności parowców śrubowych, które teraz przebiegają morza a przy swej szybkości i nadzwyczajnej gwałtowności w ataku, niemogą prawie nigdzie znaleść oporu. Niebezpieczeństw, towarzyszących żegludze na morzu nie ma prawie dla tych olbrzymów. Pierwszą potęgą morską jest Anglia, która w najnowszych czasach wszystkie wyścigła narody, budując okręty takich rozmiarów, a jakich dotąd nikt pomyśleć nie śmiał. Między okrętami wojennemi śrubowy parowiec Wellington jest największy.

Myśl, zaprowadzenia przy parowcach zamiast kół wiosłowych innego mechanizmu zatrudniała już od dawna wielu mechaników. Przy dwóch kołach nie można było jednostajnego ruchu osiągnąć. Nie można było zręcznie i na miejscu obrócić okrętu kołami wiosłowemi. Przytem koła bardzo łatwo podpadały uszkodzeniu. Osobliwie u parowców wojennych, jeden strzał działowy mógł zgruchotać koła, i od dalszych operacyi okręt usunąć. A i wiele bardzo miejsca te koła i skrzynie, w których je mieszczono, zajmowały. Otóż udało się Szwedowi Ericsonowi zastosować zamiast kół, do ruchu wiosłowego śruby Archimedesa, tak nazwanej od wynalazcy swego, który w 3cim wieku żył przed Chrystusem. Najpierw Amerykanie korzystali z tego wynalazku, pożniej i do wojennych angielskich i francuskich parowców przyjęto śrubę Archimedesa. Śruba ta jest kuta z żelaza lub miedzi, w samym środku frontu okrętu umieszczona u tramu, poruszana jest przez wał idący od maszyny parowej, ma sześć trybów, stojących ku sobie pod kątem 28 stopni. Podobnie jak zwykła śruba świdruje się w drzewo, tak śruba Archimedesa świdruje się w wodę i porusza okręt. Okręt książę Wellington jest parowcem śrubowym pierwszej klassy; o 131 działach, 1000 osady i 4209 beczek ciężarów dźwigać zdolen. Długości ma 280 stóp, szerokosci 60 stóp. Przód ma 57 a tył 65 stóp szerokośći. Obecnie na tym okręcie Sir Charles Napier zatknął swą banderę admiralską, puszczając się na morze baltyckie. Angielska admiralicya zamierza jeszcze dwanaście podobnych uzbroić okrętów, niektóre mają być nawet większych jak Wellington rozmiarów. Lecz i pół tuzina takich okrętów wystarczyłoby do przemienienia najwarowniejszego w świecie portu, otoczonego wałami, tamami i murami z granitu ciosowego, w kilku godzinach w dymiące gruzy. Przypomnijmy sobie przytem, iż olbrzymie handlowe parowce śrubowe np. *Himalaya*, o którym już dawniej pisaliśmy, zdołają w 11 dniach 3000 żołnierzy z Anglii do Konstantynopola zawieźć, a przekonamy się, że dotychczasowy system wojny zupełnie upaść musi, i że już o obronie wybrzeży morskich niepodobna prawie myśleć.

* **Prognostyki.** I w Anglii lud wierzy w prognostyki wojny. Na najwyższym punkcie między hrabstwami Lancashire i Yorkshire, koło Langfield, postawiono w r. 1815. po bitwie pod Waterloo, kolumnę pokoju (*pillar of peace*). W przeszłym tygodniu, podezas cichej zupełnie nocy, choć wiatru żadnego nie było, kolumna ta runęła. Wieść o tem piorunem rozbiegła się w najdalsze okolice; wszyscy to biorą za przepowiednię niezawodnej wojny.

* W sobotę dnia 25. marca będzie w teatrze na korzyść funduszu emerytalnego dla członków orkiestry teatralnej, dana sławna: „**Puszcza**" Symfonia-Oda w trzech oddziałach, do której text napisał C o l i n, a muzykę przecudną F e l i c i e n D a w i d, na motywa narodowe ludów wschodnich. Bardzo wielu amatorów muzyki i śpiewu wezmą w przedstawieniu tego sławnego utworu udział. Odę z francuskiego przełożył L u d w i k B u ż y n a, a umieszczona była w dzienniku mód paryskich Kulczyckiego r. 1847. Nr. 9. Treść jej następująca: Rozpoczyna się od kilku zwrotek, deklamowanych z akompaniamentem orkiestry. Podobnemi deklamacyami połączone także pojedyńcze oddziały. W nich malowniczo opisane życie na pustyni. Dalej spiewy solo i chóry męskie, głos puszczy na chwałę Ałły, pochód karawany, burza na pustyni, dalszy pochód karawany po burzy i wypoczynek. W drugim oddziale hymn do nocy, fantazya arabska. opiewająca wolność na puszczy, taniec almej i marzenie nocne.

W trzecim oddziale: wschód słońca, spiew Muezzyma wzywającego wiernych do modlitwy w texcie arabskim, dalej puszcza się karawana z noclegu w dalszą podróż i znika na puszczy i znowu spiew puszczy i głos jej na chwałę Ałły.

Oprócz tego między pierwszym i drugim oddziałem odegrany będzie koncert na skrzypcach.

* **Telegraf** przestał wychodzić.

Rycina mód załączona do przeszłego numeru zawiera dalej:

2. **Toaleta domowa.** Suknia z gros de Tours. Wysoki, gładki stanik z baskinami (połami), rękawy w kształcie pagody; rękawki batystowe, dwa razy haftem garnirowane. Na głowie ubranie na naczółku gładkie, po bokach bukiety z kwiatów i wstążek. Półkoszulek batystowy haftowany, spięty pięcioma fontaziami z niebieskiej wstążki.

3. **Toaleta od wizyt wieczornych.** Suknia jedwabna, stanik u góry krajany w kąty, w około koronką garnirowany, na którą spada strzępiona frężelka. Przód stanika spięty trzema fontaziami z wstążki; baskiny wycięte w zęby, garnirowane frężelką. Rękawy, na pół przestronе, w kształcie pagody; część rękawów spodnia od sukni jest gładka, wierzchnia zaś ściągana. U dołu kończy się rękaw garnirunkiem z tejże samej materyi, w zęby wycinanym, i obszytym frężlą. Rękawki w kształcie pagody z koronek. Suknia ma falbany lub tuniki trzy, krajane w zęby i frężlą obszyte. W każdym zębie róża zrobiona z wstążki a w środku róży agrafa z srebra. Na głowie, na skroniach koki przytrzymywane girlandą z kwiatów, z których wstążki spadają na szyję. Przez splot włosów przewinięte koronki, spadające aż na plecy.

Rysunek zawiera w sześćkrotnem zmniejszeniu krój mantylki wiosennej, którą powyżej opisaliśmy. Przy chłodnej wiośnie trzeba ją trochę podwatować. Jednakowo bardzo mało waty daje się w plecki, gdyż tam w fałdach odymałaby się mantyla. Z rysunku tego łatwo wykroić za pomocą miary centymetrowej formę naturalnej wielkości. Lecz i bez tej miary powiększając każdą linię sześć razy wykroić można formę wielką. Jeźli bierze się aksamit na mantylę, więc obszywa się morą w skos ciętą, jeźli zaś bierze się innej jedwabnej materyi, więc garniruje się wtedy aksamitem. Pasy mory albo przy przyszywaniu podginają się lub też po krawędziach szew wierzchem idący, przykrywa się wązką krepiuką. Naramek obszyty bardzo szeroką frenzlą. Rysunki fig. 6. 7. przedstawia krój stanika od sukni w naturalnej wielkości.

Przyjechali dnia 17. 18. 19. i 20. marca do Lwowa:

PP. Baraniecki Feliks, z Dynowa. Bogdański Edward, ze Zabłociec. Czerwiński Jan, z Złoczowa. Duczyński Julian, z Malinówki. Dylewski Maryan, ze Stanisławowa. Eminowicz Kajetan, z Żółkwi. Jaruntowski Antoni, z Jabłonki. Jaruntowski Jan, z Hermanowic.

PP. Bobowski Juliusz. z Żółkwi. Głogowski Artur, z Bojańca. Gorajski Józef, z Biłki. Lunda Edward, ze Strzelisk. Tretter Hilary, z Łonia. Wroblewski Józef, z Żółkwi.

PP. Kieszkowski Walerian, z Tarnawy wyższej. Malczewski Juliusz, z Skwarzawy. Michalewski Antoni, z Maluszowiec. Niewiadomski Tadeusz, z Soposzyna. Orłowski Oktawian, z Tłustego. Skrzyński Władysław, z Żurawna. Hr. Starzeński Józef, z Mogielnicy.

P. Makarski Wojciech, z Mukaniec.

Wyjechali dnia 17. 18. 19. i 20. marca ze Lwowa:

PP. Cywiński Franciszek, do Delajowa. Domain Konstanty, do Swirza. Dombaj Dyonizy, do Dobroszyna. Matz Wojciech, do Olszanicy. Milanta Lucyan, do Krakowa. Mosing Józef, do Tarnopola. Trzecieski Stanisław, do Przemyśla.

PP. Garapich Jozefa, do Cebrowa. Hr. Gołuchowski Artur, do Kopeczyniec. Komar Seweryn, do Przemyśla. Linhard Antoni, do Żółkwi. Majewski Antoni, do Podhajczyk. Majer Franciszek do Krakowa. Rosetti Konstanty, do Czerniowiec. Siebert do Łancuta. Solecki Jan, do Stanisławowa. Torosiewicz Emil do Żółkwi. Tyszkowski Jan, do Kalnego. Ujejski Bronisław do Żółkwi. Uziębło Tadeusz, do Brodów.

PP. Hubicki Karol, do Ożydowa. Jaworski Mikołaj, do Kobelnicy. Malczewski Stanisław, do Czernik. Stadnicki Ferdynand, do Złoczowa. Udrycki Adolf, do Choronowa.

Kurs lwowski.

Dnia 21. Marca.	gotówką		towarem	
Dukat holenderski	zła. 6	kr. 5	zła. 6	kr. 8.
Dukat cesarski	» 6	» 8	» 6	» 10.
Półimperyał zł. rosyjski	» 10	» 34	» 10	» 37.
Rubel srebrny rosyjski	» 2	» 3	» 2	» 4.
Talar pruski	» 1	» 59	» 2	» —.
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	» 31	» 1	» 32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zła.	» 90	» 50	» 91	» 15.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 20 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam 112. Augsburg $133\frac{1}{2}$. Frankfurt $133\frac{1}{2}$. Hamburg 100. Liwurno. — Medyolan $130\frac{1}{2}$. Genua. — Londyn 13. 3. Marsylia —. Paryż $157\frac{1}{2}$. Bukareszt $207\frac{1}{2}$. Konstantynopol 353. Agio duk. ces. — Srebra agio 33. Pożyczka 5% $84\frac{7}{16}$. $4\frac{1}{2}$ $74\frac{5}{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1204. Kolej północna 2195. Obl. ind. 5% —.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

(42) **Pränumerations-Einladung auf das 2. Quartal (April bis Juni) 1854.** (2—3)

(Echte französische Originale — niemals Copien oder Nachstiche.)

Billigste Musterzeitung.

In 3 Ausgaben:

		Durch Post:	Durch Buchhandel:
Nr. 1 für	1 Jahr	fl. 14 — C. M.	fl. 12 — C. M.
«	6 Monate	« 7 — « «	« 6 — « «
«	3 «	« 3 30 « «	« 3 — « «
« 2 «	1 Jahr	« 10 — « «	« 8 — « «
«	6 Monate	« 5 — « «	« 4 — « «
«	3 «	« 2 30 « «	« 2 — « «
« 3 «	1 Jahr	« 6 — « «	« 4 — « «
«	6 Monate	« 3 — « «	« 2 — « «
«	3 «	« 1 30 « «	« 1 — « «

Unterschied der Ausgaben: Nr. 1 bringt 72, Nr. 2 nur 56, und Nr. 3 nur 16 colorirte Kunstblätter. Text und Musterblätter sind gleich.

4 Mal im Monat erscheint:

IRIS.

Beliebteste Modenzeitung.

Bringt im Jahre an

col. Original Pariser Stahlstichen:

48 prachtvolle Moden-Costüms (über 200 Damen- und Kinder-Moden enthaltend):
12 modèles de lingerie (Mantillen, Hüte, Leinenwäsche &c., über 100 verschiedene);
12 dessins de tapisserie (entzückende colorirte Tupfmuster, über 50 Gegenstände);
32 Doppel-Musterbogen (über 1000 Zeichnungen zum Sticken &c., grosse Patronen &c.);
48 Kunstschulen weiblicher Arbeiten (praktische Anleitungen dazu);
77 Bogen Feuilleton und Anzeiger, Besprechungshalle, **Beurtheilungen von Handschriften** u. s. w.

Pariser Damen-Zeitung.

Prachtvollstes Moden-, Muster- und Kleider-Magazin.

Paris, *rue St. Anne 64.* — ***Leipzig,*** *Königsstrasse 2.* — ***Wien,*** *Graben 618.*

Eine Vermehrung von über 500 im laufenden Quartale **neu beigetretenen Abonnenten** zeigt von der steigenden Gunst, welche **dieses Damenjournal** seit seinem 6jährigen Erscheinen zur **Tonangeberin der Mode,** zum **Leitstern weiblicher Kunstarbeiten** dauernd und ungetheilt erhoben hat.

Einer schöneren Empfehlung bedarf „Iris" nicht! Deren zauberisch fesselnde Reize sind **hoch erhaben über alle Nachahmungen,** und sichern ihr mit jedem Quartale Erweiterung des angebahnten Wirkungskreises.

☞ Aufträge zum Besorgen der **„Damenzeitung IRIS"** übernimmt jede Buchhandlung; wem jedoch am schnelleren Empfang **(wöchentlich protofrei durch Briefpost)** gelegen ist, wolle nebst gefälliger Angabe der genauen Adresse den nach getroffener Wahl entfallenden Pränumerationsbetrag **franko** direkt einsenden an die

Administration der „IRIS" in Gratz.

---

(38) (2—3)

Zeszyt 2gi **utworów muzycznych i literackich Wnej panny Teodozyi Papara**, którego prenumerata ogłoszoną została r. 1853 Gazetą Lwowską, w cenie 10 złr. mon. kon., zawierać będzie 12 nowych utworów następujących:

Dzieło 13. Grande Polka p. le Piano. Es dur
14. Mazur p. le Piano. Es dur
15. Improvisation p. l' Orchestrion (Phisharmonica). A mol
16. Souvenir d' Amitié (Etude). G mol
17. Potpourri p. la Guitarre. E dur
18. Chant céléste (Etude). D dur
19. Air polonais avec acc. de Guitarre. A mol
20. Mazur p. l' Orchestrion (Phisharmonica). A dur
21. Duetto et deux mélodies p. l' Orchestrion (Melodicon).
22. Polonaise de Concert p. le Piano. B dur
23. Valse p. le Piano. B dur
24. Tableau Musicale (Le sérieux interrompu par la gaieté).

Zeszyt 1wszy utworów muzycznych i literackich który wyszedłw r. 1853, i znajduje się we wszystkich księgarniach Lwowa za cenę 5 Złr. m. k. zawiera 11 utworów następujących:

Dzieło 1. Polka. G dur
2. Mazur. G mol
3. La Prière exaucée. Des dur
4. Etude. Des dur
5. Les Amoureux. D dur
6. Etude chromatique (La Solitude). D mol
7. Air polonais av. accomp. de Piano. B dur
8. Mazur p. le Piano. B dur
9. Marche funèbre. D mol
10. Polonaise. Es dur
11. Valse. G dur

Dzieło 12. Obraz mego życia (Tableau de ma vie, poésie musicale), jeszcze do 1go zeszytu nie załączone. Utwor ten w rodzaju większych, nie mógł być we Lwowie wydanym dla wielu przeszkod, z tego powodu dotąd zostaje jeszcze w rękopiśmie.

---

(41) (1—3)

W dworku przy szerokiej ulicy JW. hr. Alfreda Potockiego jest:

Skład drzewa

z którego sąg miary lasowej w sklepie skór w kamienicy **W. Hudetza po cenie 12 Złr. 6 kr. m. k. sprzedaje się.**

(45)

Do wynajęcia.

Pomieszkanie na 1. piętrze o 7miu pokojach z przynależytościami, z stajnią na 5 koni i wozownią, od 1. czerwca r. b. przy ulicy Syxtuskiej pod N. 118. (2—3)
